DZIŚ I JUTRO



Karol Kłosowski — Zakopane.

ROK V. 15. LUTEGO 1929 R. NR. 6.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY.

UROCZYSTOŚĆ 10-CIOLECIA WSKRZESZENIA POLSKI.

(Gimnazjum humanistyczno-sanatoryjne im. św. Teresy w Rabce).

W całej Polsce rozkołysały się w dniu tym dzwony, głosząc wieść radosną. A więc i u nas także, w naszem gimnazjum obchodzono dzień ten nadzwyczaj uroczyście. Rano udałyśmy się do pobliskiej kaplicy, aby prosić Stwórcę o błogosławieństwo dla Polski. Po nabożeństwie z patrjotyczną pieśnią na ustach wracałyśmy radośnie do gimnazjum. Gmach zakładu uroczo był ustrojony w olbrzymie girlandy świerkowe i różnobarwne lampjony, na naczelnem miejscu widniał Orzeł Biały i portret Prezydenta. Zdala witała nas biało-amarantowa chorągiew, kołysząc się lekko z podmuchem wiatru na jasnem tle błękitu.

Wszędzie, w całej Rabce, panował jakiś uroczysty nastrój. Rozpromienione twarze, domy strojne w zieleń, biel i purpurę — dziwnie odbijały od smutnego tła przyrody jesiennej. Po powrocie z kaplicy rozmawiałyśmy z zapałem o wiekopomnej rocznicy. Mimowoli snuły się przed nami postaci bohaterów, którzy do ostatniej kropli krwi walczyli, by odzyskać wolną, niepodległą Ojczyznę. Po południu odbyła się Akademja ku uczczeniu święta narodowego.

Na wstępie odśpiewano pieśń: „Bogarodzico-Dziewico", poczem p. Dyrektor w przepięknem przemówieniu przedstawił smutną a tak niedawną przeszłość drogiej naszej Ojczyzny, szczęście Zmartwychwstania i wypływające stąd dla nas obowiązki patrjotyczne.

Zrozumiałyśmy, że dziś, kiedy w tej „wojnie ludów" Ojczyzna nasza odzyskała wolność, nie potrzeba już ofiar nowej krwi i życia, lecz trzeba wytężonej pracy. Tak, musimy usilnie pracować z dnia na dzień, a praca nasza wzmocni wątłe siły Ojczyzny, wzbogaci ją i byt utrwali.

Następnie przystąpił p. dyrektor do omówienia najważniejszego punktu programu Akademji, t. j. do „Żywego pomnika niepodległości Polski." Wystąpiły dwie nasze koleżanki z rulonami w ręku. Jedna z nich odczytała słowa naszego postanowienia, wypisanego kunsztownie na tle pięknego rysunku (uchwała ta, oprawiona w ramy, zostanie umieszczona w naszej auli), a druga wypowiedziała nasze zobowiązanie składania dziesiątej części naszej pensji miesięcznej w celu założenia gruntownych podstaw pod bibljotekę szkolną, oraz oświadczenie, że jednorazowo już zebrałyśmy 100 zł. Po odczytaniu obydwa dokumenty wręczyły p. przełożonej i p. dyrektorowi. Następnym punktem programu był odczyt, zaznajamiający nas z najważniejszemi zagadnieniami wojny światowej, powstania Polski i dziesięcioletniego jej rozwoju.

Potem następowały liczne deklamacje, muzyka, śpiewy chóralne — a wszystko w duchu narodowym, przystosowane do wielkości dnia uroczystego. Ten podniosły, pamiętny dzień święta narodowego pozostanie nam na zawsze w sercu i pamięci i będzie bodźcem do pracy nad sobą i do czynnej, ofiarnej miłości Polski, naszej Matki-Ojczyzny. *Elżbieta Skałkowska*

uczennica V kl.



Gimaznjum sanatoryjne, humanistyczne, żeńskie im. św. Teresy w Rabce.

„Żywy pomnik Niepodległości Polski".

Łącząc się z Narodem w uczuciach bezmiernego szczęścia w wielkopomną rocznicę Wskrzeszenia Polski, a wiedzione gorącą miłością Ojczyzny i pragnieniem uczczenia Dziesięciolecia — Niepodległości Państwa Polskiego — czynem ofiarnym i twórczym, a trwałym, postanowiłyśmy jednogłośnie założyć poważne fundamenty Bibljoteki Gimnazjalnej — którąby służyła potrzebom serca i umysłu naszego, a następnie naszych sióstr — Polek szukających w tutejszym Zakładzie zdrowia, światła nauki przygotowania do życia ku chwale Boga i na pamiątkę umiłowanej Matki — Ojczyzny — Najjaśniejszej Rzeczypospolitej! Pragniemy zarazem by czyn nasz, który wypływa ze źródeł miłości Ojczyzny w dniu Swięta Narodowego — był też wyrazem naszej głębokiej wdzięczności, miłości i przywiązania, jakie żywimy dla naszej ukochanej szkoły.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK V. 15. LUTEGO 1929. № 6.

HASŁA I CZYNY.

Ukochanej młodzieży
Młodym Polkom i Polakom...

Górną jest rzeczą płomienne DZIŚ rzucać pieśni,
Niecić Ideały, Naród w nieścigłą wieść dal,
Zamierzchłych dziejów urok z wieków wskrzeszać pleśni
Balsamem koić dusze — lazurem morskich fal!

Lecz gdy się ozwą życia przemożne hejnały,
Lutni struny trzeba zerwać, serc tęskny zgnieść żal,
Na bój JUTRA iść z mieczem, jak rycerz wytrwały,
Życia kuć Świty, marzenia w czynów zmienić stal!

Bo pieśń jest życia mistrzynią i surmą wspaniałą —
Z dusz Bohaterstwa zdolną wydobyć wawrzyny!
Na szczyt młodych wieść rzesze — z nieśmiertelną chwałą!

W Legjon Polski zakujcie się Córy i Syny,
Świadomie gnani — czasu spienioną nawałą,
Ojczyźnie mężnie tworząc — Bytu podwaliny!

Włodzimierz Ogończyk Godziszewski.

2)

KU SWOIM.

Z bogatej bibljoteki Kosobowickiego dworu ocalało zaledwie kilkanaście książek w tem niektóre Włodkowe: Robinson Kruzoe, Duch puszczy, Cudowna podróż, Serce, Chłopcy z placu broni. Wystrzępione i zbrudzone stanowiły one największy skarb i radość Janka. Szanował je niby świętość, przewracając ostrożnie nadszarpnięte kartki. Wszak gdyby się rozleciały, niktby drugich podobnych nie dostał. Niema już książek! Niema już w mieście sklepu, do którego mamusia mogłaby pójść (jak dawniej podobno bywało) kupić piękną książkę dla swojego synka. Nawet gdyby cudem jakimś znalazły się na to pieniądze — niema, niema najlepszego przyjaciela — książki!

Szelest kroków przerwał obu chłopcom czytanie. Obejrzeli się zdziwieni. Stara Motra, piastunka Irki, mieszkająca z mamą Janka, wyszła z borów ku rozwaliskom, nie spostrzegając bynajmniej siedzących. Twardą stopą w płytki chodak obutą przesadziła śmiało wysoki próg ruin i weszła do wnętrza. Chłopcy porozumieli się błyskawicznie spojrzeniem i ruszyli pocichu w ślad za nią Wlokła się powoli przez zwaliska postukując gniewnie kijem, przystając raz po raz, mrucząc przez zęby niezrozumiałe słowa i przekleństwa. Niezauważeni dotąd chłopcy patrzyli ciekawie niby na wróżkę sprawiającą złe, ale ciekawe czary. Lecz kamień zazgrzytał pod stopą Janka. Obejrzała się, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Pójdź, pójdź, gołąbeczku! — rzekła, kołysząc miarowo głową — pójdź, popatrz się... Ot, łóżeczko twoje tu stało... W tem miejscu... Białe było... z firankami... A tutaj tatusia pokój... Twojego biednego tatusia... Szafa wielka do sufitu, na całą ścianę szeroka, a pełna książek... Jedne koło drugiej. Tu Irki było łóżeczko, tam Włodka... Pomnę dobrze gołąbeczku... Detyno moja... Oj pięknie tu było... pięknie... Te róże! Pod sam dach rosły... Muru za niemi znać nie było...



— A ty tu czego? — wrzasnęła naraz z gniewem.

Zakołysała głową porwana żalem.

— A ty tu czego!? — wrzasnęła naraz z gniewem do Sydora — poco tu łazisz! Ty zbóju! Twój tatko ich tu prowadził! Wiem dobrze! I twoja mamulka tu była! Dotąd z firanki ma kieckę na święto... Hej, Boże! Boże! Piętnaście lat tutaj byłam... Złego słowa nie słyszałam!... Dobrzy ludzie byli... Krzywdy niczyjej nie chcieli... A ot co z niemi zrobili!... I za co? Boże mój, za co?! A poszedł stąd, ty łotrze! złodzieju! Co się z nim, moja detyno, zadajesz?! Ojca ci ubili! ojca! Zamęczyli... Dobrego pana... A bodaj was Bóg pokarał! Bodajeście poginęły! Zbóje! gałgany! zarazy!

Uciekli w głąb parku przerażeni jej wybuchem. Oglądając się z trwogą widzieli ją stojącą na progu z pięścią zaciśniętą nienawistnie, grożącą widnej w dali poza stawem wsi. Stanęli w gąszczu, gdzie już ich dojrzeć nie mogła. Sydor milczał. Janka dławiło niepojęte łkanie. Sydor-zbój? Morderca? Nie, nie, nie mo-

że to być! Wiedział, oczywiście wiedział, że chłopi zniszczyli dwór, zabili ojca, lecz wydawało się to wszystko zazwyczaj jakieś nierzeczywiste i bardzo dalekie. Z rozpalonych słów piastunki wyjrzało naraz bliskie i jaskrawe.

— Sydor... to prawda, co ona gadała? — wykrztusił nieśmiało.

Połańczuk z ponurą determinacją wsunął ręce w podarte kieszenie.

— Prawda — mruknął — co chcesz... ja nie był... ani nie pomnę tych czasów, no batko był...

— Dlaczego?! — rzucił gorączkowo Janek, przysuwając się ku niemu — za co? Co wam zrobili? Tatusia zabić, dom spalić, mamę wypędzić!... Mamę, co taka dobra... i leczy was wszystkich... oh!

— A cóż, wiedzieli my!? — odparł posępnie starszy. — Znali my was? Pewnie. że jakby teraz na to przyszło, to sami my aniby ruszyli i jeszcze od drugich obronili... Ale wtedy... Skąd było znać dobre wy, czy złe?...

— Nie gadaj! Jakżeście nie znali?...

— No mówię ci, że nie znali... Czasem widzieli zdaleka jak państwo jechali przez wieś... albo podglądali my przez parkan... Baczysz Janek: jakby ten dom stał jak stał, anibyś mnie Sydora znał, ani o mnie wiedział, aniby my ze sobą gadali...

— Nieprawda!

— Ej prawda, prawda... Po co tu stara Motra przylazła, jak myślisz?

— Nie wiem, co mnie to obchodzi? — odparł pogrążony w zmartwieniu swem mały Janek.

Rozdział II.

Chata zajmowana przez matkę Janka, zwana dawniej chatą starej Mykołychy, a obecnie chatą pani. leżała na samym końcu wsi. Nędzna była i maleńka. W roku 1918, ostatecznego nieszczęścia i klęski, wygnańcy, okryci najboleśniejszą żałoba schronili sie do niej. Była pustą, bo cała rodzina Mykołów wymarła na tyfus i ludzie lekali się zbliżać do zarażonych ścian. Pani Turska zajęła ruderę i mieszkała w niej z dziećmi. Do obejścia przynależało parę zagonów, których użytku nieszczęsnej wdowie nie broniono. Uprawiali je Włodek i Irka pod świadomem kierownictwem starej Motry. Matka szyła kaftany, kiecki i zapaski. Była zręczna, pomysłowa, wprędce też zasłynęła wśród bab jako pierwszorzędna krawcowa. Płacono jej chętnie jajami, masłem i serem. Znaną też była jako lekarka, doradczyni, pielęgniarka, pani o dobrej ręce, mądrej radzie. Z natury słodka i pełna prostoty umiała sobie zwolna, ale pewnie pozyskać przyjaźń i stateczne zaufanie wsi. Za dowód gruntowny tej dziwnej przyjaźni można było uważać chwilę, w której w rok zgórą po osiedleniu się w chacie, starszyna w otoczeniu poważniejszych gospodarzy przyprowadził „pani" w darze jedną z jej własnych, poprzednio zagrabionych krów. Pani Turska uśmiechnęła się wtedy radośnie po raz pierwszy od chwili pogromu, nietylko do krowy, która w jej warunkach była dobrodziejstwem nieopisanem, lecz do głębokiej, najgłębszej przemiany, której ten dar był dowodem.

W ciągu następnych, sunących powoli lat, zapadła chata została wybielona, uporządkowana, wyreperowana. Główna izba otrzymała nawet podłogę w miejsce polepy. Żałosna nędza pierwszych dni wygnania była już tylko wspomnieniem. Życie szło w spokojnem acz twardem bytowaniu, w zaspokojeniu najpierwszych potrzeb pierwotnego życia.

Gdy przed wieczorem Janek powrócił do chaty, wieczerza, miska kartoflanki z fasolą, stała już na stole. Wieczerzano wcześnie, by światła nie palić. To zbytek kosztowny i kłujący w oczy władze sowieckie, dozwolony tylko w zimie. Irenka szczupła, ładna dziewczynka, podobna do matki, kreciła się koło kuchni, szykujac jedzenie dla świni.

— Jesteś, Janek — powitała wchodzącego matka — a Włodka jeszcze niema! — westchnęła.

Ujęły we dwie z Irką ciężkie wiadro pełne obierzyn i pomyj, przechodząc z niem na drugą stronę chaty, gdzie pod

tym samym dachem mieścił się chlew i obórka. Janek siadł zamyślony przy stole, podpierając brodę rękami. Głębokiem, badawczem spojrzeniem ogarnął wracającą matkę.

— Mamuś, słuchaj mamuś... — zaczął cicho, prędko.

— Co synku?

— Dlaczego ciebie nie znali?

— Kto? — przystanęła zdumiona.

— Oni... wiesz, oni wszyscy... Jewdokim, Prokop, Demian, starszyna, wszyscy... Sydor mówi, że ciebie i tatusia całkiem nie znali... Sydor mówi, że gdyby wiedzieli jaka ty dobra, kochana, nigdyby domu nie popsuli, jeszcze od drugich bronili... Tak mówi... I tatusia by nie zabili, i dom by stał, i moje łóżeczko, i szafa z książkami... Oni myśleli, że ty zła i tatuś też... Dlaczego?

Spojrzała na syna rozszerzonemi oczami, uderzona nagłym żalem, jak obuchem.

— Sydor mówi — ciągnął Janek — że gdyby dom był jak był, to jabym go wcale nie znał, ani z nim nie gadał... Nie gadałbym z Sydorem! też!

— Później ci to wytłumaczę — rzekła szybko matka.

W sionce rozległy się kroki. Wszedł Włodek, starszy brat, od niedawna na wyraźny rozkaz prezesa gminnego sielsowietu, członek komsomołu, czyli Stowarzyszenia Komunistycznej Młodzieży. Nie patrząc na nikogo usiadł ciężko za stołem.

— No cóż, dacie jeść? — zapytał szorstko.

— Przecież miska stoi przed tobą — odparła łagodnie matka.

Bez słowa spojrzała na ubłocone buty syna, zostawiające ślady na starannie wymytej podłodze. Zasiedli wszyscy. Stara Motra naprzeciw mamy, Irka obok. Janek lękliwie spozierał w zasuszoną, obojętną twarz piastunki. Włodek jadł chciwie ,rozwalony na ławie, mlaskając głośno wargami.

— Włodek, jak ty siedzisz? — zauważyła z cicha matka.

— Jak wszyscy — odmruknął.

— Nikt z nas tak nie siedzi... Wyprostujże się, trzymaj inaczej łyżkę...

— Tak mi wygodniej!

— Ale brzydko, cywilizowani ludzie tak nie jedzą...

— Oho! Komisarz albo Grigorji z Zaw-komu jedzą tak samo jak ja...

— To wstrętnie wygląda... Włodek! ja cię proszę...

— Także coś! Co mnie to obchodzi — burknął, nie zmieniając postawy.

Matka umilkła. W umęczonej głowie szukała daremnie argumentu dość mocnego, by przekonać Włodka o potrzebie zachowywania kulturalnych form. — Prawda, że w obecnem ich życiu były one zgoła niepotrzebne, zbyteczne, przeżytek minionych czasów, przecież widok urągającego im syna sprawiał jej ból fizyczny. Ta sama przemiana co nazewnątrz dokonywała się niewątpliwie również w duszy chłopca i ta myśl stanowiła dla niej nieustającą mękę. Przecież to był jej Włodek, jej najstarszy, uderzająco podobny do zmarłego, nigdy dość opłakanego ojca — jej pierworodny, co miał zostać chlubą jej i dumą. Z jakąż radością, gdy był dzieckiem, patrzyła na jego wysokie czoło, energiczny podbródek, bystre oczy — zapowiedzi dzielnego człowieka. Co się z nich ostanie? Spuszczała nisko twarz, by ukryć pełne łez oczy. Milczenie leżało w izbie. Stara Motra wzdychała ciężko, Irka patrzyła bezmyślnie w zachodzące za maleńkiem okienkiem słońce.

Mimo rozmyślnej gburowatości Włodek czuł się nieswój. Raz po raz spoglądał ukradkiem na matkę. Powoli wyprostował się, odgarnął włosy z czoła, zaczął jeść poprawnie jak rodzeństwo. Matka zauważyła to odrazu, uśmiechnęła się do niego wdzięcznym, pełnym niewysłowionej tkliwości spojrzeniem. — Spojrzał na nią czule, choć ukradkiem, niby ze wstydem.

(C. d. n.)

Zofja Kossak-Szczucka.

W RZEŹBIONEJ ŚWIETLICY...

W rzeźbionej świetlicy
Zebrali się ludzie wieczorem
Przy blasku gromnicy.
Gadają coś kołowrotki,
Wrzeciono furkocze,
W blasku gromnicznym błyskają złociście
Dziewcząt warkocze.

W rzeźbionej świetlicy
Dzwonią korale,
Cienie ogromne pełzają
Po oknach mrozem oszklonych,
Po ścianach wapnem bielonych
I po powale...
A z cieniów snują się cicho,
Kto wie którędy,
Wraz z srebrną nicią wrzeciona —
Złote legendy...

Małe dziewczynki
Otwarłszy buzie jak wrota,
Słuchają jako się snuje i wije
Baśń złota.

Jak tu straszno w głębi lasu,
mroczno i ciemno...
Zaszumiały stare świerki
trwogą tejemną,
Pod czopami z śniegów białych
stoją wtulone,
Przesiąknęły mgłą wilgotną
kory zielone...
Wiatr żałosny hula sobie
po pustych jarach
I zawodzi po rozdrożach
i łka w chojarach,
A przez nockę, w tej pustocie
i w tej żałobie
Idzie lasem Matka Boska
i świeci sobie...
Leci przed Nią zawierucha
i śnieg odmiata,
Aby mogła przejść wygodnie
Królowa Świata...
Lecą małe aniołeczki
poprzez śnieżyce,
Świecą, świecą dla swej Pani
złote gromnice,
A jeżeli szczęście spotka
jakiego człeka,
By zobaczył jasność taką,
choćby zdaleka,
Jeśli spotka gdzieś ten orszak
w nockę gromniczną
I zobaczy kraj Jej szaty
i jasność śliczną,
To już może w sercu nosić
pewność tajemną,
Że mu nigdy na tym świecie
nie będzie ciemno...

W rzeźbionej świetlicy
Zebrali się ludzie o zmroku
Przy gromnicy...
Małe dziewczynki
Otwarłszy buzie jak wrota,
Słuchają jako się snuje
Baśń złota.

S. M. T.

W CZASIE BURZY.

4) *Opowieść z niedalekiej przeszłości.*

Rozdział V.

Na czterech metrach kwadratowych, klepiska przed „czworakami" parobcy i dziewczęta przytupywali niezmordowanie w takt jednej i tej samej melodji przygodnego muzykanta.

Po chwili z gromadki tańczących wysunęła się Ewka, pokojowa, i chciała iść w stronę dworu.

Zatrzymała ją jedna z dziewczyn.

— Już idziesz?

— Ino. Trza do stołu przyrychtować.

— Wielkie co — zaśmiała się — niech se sami przyrychtują.

— Wiadomo — przytaknęli — państwo i tak w kużden dzień świętujom.

Zawahała się, bo w tej chwili stanął przed nią Franek. Parobczak zielony kapelusz przykrzywił na bakier i przytupywał do taktu, szczerząc białe zęby.

— Ewciu, jeszcze raz w kółeczko.

Przetańczyli, lecz potem nie chciała dłużej zostać.

— Co ci tak pilno?

— Pani dziedziczka kazała. Dziś wcześni kolacyja, bo panicze śpieszom się na kolej.

— Do Warszawy?

— Juści. Majom se mundury sfundować.

— To już idź, ale cię następnie odprowadzę.

To „następnie" było przysłowiowe u Franka. Wtrącał je często, jako nabytek „edukacji", wynikłej z częstego obcowania z paniczami, którzy byli dla niego wyrocznią.

Przeszli na tyły domów koło małego ogródka, pełnego georginij, słoneczników i malw.

Kiedy się rozstali, Franek patrzał za dziewczyną, póki nie zniknęła, poczem nacisnął kapelusz i wrócił do gromady. Tutaj oberek nie przestawał dźwięczyć, ale po odejściu Ewki nie pociągał go taniec. Zbliżył się do Szczepana i zagaił rozmowę.

— Panicze nasi prawdziwie szykują się na wojnę. Dziś następnie jadą do Warszawy po mundury.

Szczepan nic nie odrzekł, zajęty całkowicie zwijaniem papierosa.

Franek rozgadał się. Mówił, jako że jest źle, kiedy tyle chłopa do wojska zwołują i że pewnie „bolsiowniki" niedługo tu przyjdą.

— Psiekrwie! — wyrzucił nagle Szczepan. Poczem wyjął ogarek papierosa, splunął na bok z pogardą i dokończył:

— Bodaj ich pokręciło!

Dobitne wyrażenia małomównego gajowego miały w sobie siłę głębokiego przekonania i nienawiści.

Franek mu przytakiwał. Zbliżyli się inni, nawiązywała się rozmowa, polityczna dyskusja. Mówiono o bolszewikach, krytykowano panów, potępiano rząd.

— Za ruskiego było lepiej. A „bolsiownik" to tyż ruski, może nawet dobrze, że przyjdzie.

— I, nie wiedzieć, co gadacie! — oburzył się Franek. Kiedy każom ich bić to widać następnie — som dranie i tyle.

— Dranie nie dranie... — wtrącił skrzeczącym głosem Filip Sroka, który nagle zjawił się, jakby wyrósł z pod ziemi.

Zwrócili oczy na przybysza. Był to mężczyzna nieokreślonego wieku, ubrany po mieszczańsku, krępy, ryży, piegowaty. Przychodził do roboty jako najemnik. Miejscowi mało go znali. Jedni stronili od niego, innym imponował mieszczańskiem pochodzeniem i „uczonością".

Filip rozejrzał się, łysknął okiem na prawo i lewo i zaczął przemowę tonem dyktatora.

— Wy myślicie, że bolszewicy to zbóje. Oni lepsi niż wam się wydaje. Chcą równości i basta! Panów rżną, to pany się ich boją. Kto idzie teraz na ochotnika? Juści, że panicze. Bo panicze to „burżuje" i boją się bolszewików. A naco chłop ma bić bolszewika, kiedy bolszewik jego brat i krzywdy mu nie zrobi. Zabierze, co pańskie i odda chłopom. Musi być równość i basta!

Ludzie słuchali w milczeniu, gestami wyrażając zdziwienie. Jedni niedowierzająco kręcili głowami, inni przyznawali mu słuszność:

— Dobrze gada, musi być równość.

— Żeby ino te bolszewiki prędzy przy-

Dla ludzi miej twarz wesołą
i uśmiech radosny,
choćby ból ci marszczył czoło,
dla ludzi miej twarz wesołą —

Będziesz mieć przyjaciół wkoło
za te błyski wiosny —
dla ludzi miej twarz wesołą
i uśmiech radosny.

Nina Miodyńska.

śli... — wzdycha głośno jakiś chłop o wielkiej głowie i tępym wyrazie oczu.

Franek zwrócił się do niego z perswazją.

— Wy, Feliksie, niepiśmienny, to wiecie tyle, co wam gadają. A mnie następnie panicz Stefan często dawał gazety. Sam czytałem o bolszewikach jako, że wsie palą i ludzi mordują...

— I... może nieprawda...

— Kiej tak stojało wydrukowane, to musi być prawda — zakonkludował Szczepan z przekonaniem.

Wielu uderzyła słuszność tej uwagi.

Zaczęto nieufnie spoglądać na Filipa, a młodsi zbliżali się do Franka, chcąc dokładnie dowiedzieć się, co tam jeszcze stojało wydrukowane.

. . . .

Stefan i Jędrek rzeczywiście wyruszyli do Warszawy. Chcieli już umundurowani pokazać się w Borowiu i rozstać z rodziną.

Jerzy nie pojechał z nimi. „Wolę te dwa dni jeszcze spędzić na wsi" — powiedział do Toli, zdziwionej tą zwłoką. Jędrek na ten dowód „poezji" studenta dwuznacznie kręcił głową. Stefan twierdził, że w każdym razie pójść musi, lecz on upierał się, że Jerzy zaczyna „kręcić."

Tola nie zwracała uwagi na przycinki młodego zucha. — Ona wierzy w to, że Jerzy powiedział prawdę. Nawet rada jest, bo dłużej będzie go widziała.

A może... i on także dlatego...

Nie. To głupie serce zawsze odezwie się nie w porę...

Nie czas teraz myśleć o sobie.

Jedynym środkiem przeciw niezadowoleniu jest serdeczne zrozumienie innych dokoła siebie. Zrozumienie to może nawet przynieść ulgę w cierpieniach. Tola pocieszając panią Rawicką, która niekrępowana obecnością synów, dała folgę łzom i rozpaczy — zapomniała o swych niepokojach.

Rozdział VI.

Haneczka stała przy oknie. Roziskrzonemi oczkami śledziła Stefana i Jędrka, którzy, wysiadłszy z bryczki, rozmawiali z Frankiem.

— Tatku! chłopcy przyjechali! Mają takie śliczne mundury jak „prawdziwi" żołnierze.. O idą! — Z entuzjazmem przypadła do ojca, ciągnąc go na ganek.

„Prawdziwi" żołnierze, polscy żołnierze...

Wszyscy zaczęli witać chłopców, pytać o wieści z Warszawy.

Nie wiedzieli do kogo się wpierw zwrócić, triumfujący, radośni. Stali się bohaterami. Każdy na nich patrzał, słuchał. Byli chlubą rodziny, czemś najdroższem, co trzeba będzie utracić, może na zawsze...

Ale chwilowo nikt nie poddawał się smutkom. Ogarnęło wszystkich radosne uniesienie, udzielił się animusz chłopaków.

Jędrek, szesnastoletni żołnierzyk, którego zaróżowiona twarz, jasne włosy i błękitne oczy stanowią kontrast z powagą szarego munduru, uwija się bezustannie, zwinny, roześmiany. Stara się zachować tak, jakby już od kilku lat był żołnierzem. Z zasłyszanych i przeczytanych wrażeń formuje poglądy na wojnę. Przewiduje, tworzy plany, widzi już klęskę bolszewików.

— Zgnieciemy w proch tę hołotę.

Dziedzic rad słucha przechwałek Jędrka i opowiadań Stefana o organizcji młodzieży.

— Dobrze, dobrze, ale pijcie kawę, bo nie będzie sił do działania. Człowiek głodny licha wart, panie dobrodzieju. Ewka, daj więcej śmietanki!

— Czego beczysz?

Dziewczyna zakryła twarz końcem fartucha.

— Bo nie śmiem...

— Może za mną tak płaczesz, co?

Jędrek, lubiący ze wszystkimi żartować, rzucił te słowa ze swawolną miną, zerkając w stronę Jerzego i Stefana, którzy zawtórowali mu śmiechem.

— No przyznaj się!

Odkryła oczy i powiedziała z żalem.

— Ja nie za paniczami płaczę, ino za Frankiem...

— Biorą go do wojska?

— Nie, ino sam naparł się iść z paniczami. Nie patrzy na starą matkę, ani na nikogój... Miał mie brać po żniwach, a tera co? Pójdzie i przepadnie... Ubijom go loboga...

Uciekła, zanosząc się płaczem, aż Tola wstała od stołu, żeby ją pocieszyć.

Zaczęto mówić o bliskiem rozstaniu.

— Już tylko jeden dzień...

Głos pani Rawickiej zabrzmiał przejmującym smutkiem. Z westchnieniem wstała od stołu, dając tem hasło do rozejścia się.

— Tylko jeden dzień — powtórzył Stefan — trzeba go jaknajlepiej wyzyskać.

— Chodźmy na partyjkę krokieta! — zawołał nagle Jędrek, zapominając o powadze „prawdziwego“ żołnierza.

— Dobrze, ja gram z tobą. Musimy pobić dziś pana Jerzego.

— Daremne zabiegi, panno Tolu, wygram i tym razem — zapewniał student, również odzyskując wesołość.

Gwarnie ruszyli ku drzwiom. Tu nagle zatrzymał ich Jędrek.

— Zmieniam projekt. Lepiej trochę potańczmy.

...I niedługo, błaga prosi,
boć to w polskiej ziemi.
W pierwszą parę ją unosi,
a sto par za niemi...



... a sto par za niemi...

Chwycił rękę Toli i wśród pląsów biegną do salonu.

— Sto par, gdzie jest sto par? dźwięczy roześmiany głosik panienki.

Rozochocony Stefan porwał „Madame“, a Jerzy Haneczkę, która głośno śmieje się z uciechy. Wszystkich ogarnęła szalona radość, wybuch tłumionej, a domagającej się swych praw wesołości młodzieńczej.

— Zmiana dam! — Huknął po chwili Jerzy, odbierając Tolę Jędrkowi, który rad nie rad musi tańczyć z Hanią.

— Teraz walca!

Ale kto będzie grał?

Wchodzi pani Rawicka.

— Mamo, ciociu, walca z „Czardaszki.“

Pani Rawicka siada do fortepianu i palce jej, któremi przed chwilą ocierała łzy, wybijają skoczne tony.

„Ach, walczyk, walczyk sam,
walczyk urok niesie nam“...

— Już dosyć! — zawołała po jakimś czasie Tola.

Rozweselona, zdyszana padła na kanapkę i zaczęła poprawiać uczesanie.

— Panno Tolu, niech pani teraz zagra coś do słuchu.

Głos Jerzego zabrzmiał powrotną falą smutku.

Podeszła do fortepianu i ponieważ żal ją ogarnął popłynęła tęskna melodja szopenowskiego preludjum.

Zaległo milczenie. Znowu rzeczywistość i melancholja wzięły myśli w posiadanie.

...„wszystko kończy się
w niezmąconej ciszy
w nieprzerwanym śnie“...

powtarzała Tola w takt melodji.

Coś, czego nikt nie widział, ale wszyscy czuli, ściskało krtań jakimś nie dającym się wypowiedzieć bólem...

Nagle Jędrek zawołał:

— Dajże spokój z Szopenem. Wlecze się taka melodja, aż się człowiekowi głupio robi... Zagraj coś porządnego, jaką żołnierską piosenkę.

— „O mój rozmarynie rozwijaj się“ — zanuciła, raptownie zmieniając akordy. Zawtórowali jej i popłynęła nuta rzewna i dziarska zarazem przez otwarte okna, w gąszcz ogrodu, w przestrzenie pól.

(C. d. n.) *Alina Kwiecińska.*

Z DZIENNIKA OKRĘTOWEGO.

Późnym wieczorem 4-go grudnia statek angielski „Baltrigier“ podjął kotwicę i począł się zwolna wysuwać z portu gdańskiego w kierunku ujścia Wisły. Około 11-tej wieczorem minął latarnię Helu i wziął kurs ku zachodowi. Zaczął padać drobny śnieżek.

Leżałem w mojej kabinie pochłonięty całkowicie myślami. Wczoraj wieczorem raptownie wyjechałem z Poznania, zawezwany depeszą. Dziś rano przybyłem do Gdańska i zaciągnąłem się do służby morskiej. Rozmowa w biurze kompanji okrętowej trwała krótko:

— Osiemnaście funtów miesięcznie i pełne utrzymanie — oświadczono mi na wstępie.

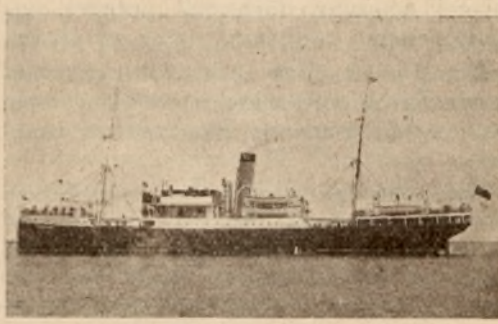
Na znak zgody kiwnąłem głową. Sprawa załatwiona. W komisarjacie polskim sprawa wydania dokumentów trwała może kilkanaście minut.

W biurze kompanji umówiłem się, by popołudniu około 3-ej na oznaczone miejsce z „Baltrigiera“ przysłano po mnie służącego, którýby mię zaprowadził na statek.

Rzeczy wysłałem osobno. Na pokładzie spotkałem kapitana Gilly w płaszczu uniformowym z nastawionym kołnierzem. Typowy to był Anglik, starannie wygolony, różowy, spokojny i przyjaźnie uśmiechnięty, może i czterdziestki nie miał. Ścisnął mi dłoń, otworzył drzwi już mojej odtąd kabiny, wskazał leżące na stole urzędowe księgi, powiódł oczami po ścianach i suficie, jakby czegoś szukając, spróbował, czy się drzwi dobrze zamykają i odszedł.

Zacząłem się roztasowywać w tem nowem mieszkaniu, wyjmować książki, urządzać biurko. Wkrótce okrętowy boj*) przyniósł i postawił na stole filiżankę, ciemnej jak smoła herbaty i ciastko.

Na statku wrzała robota, ładowano towary, chodzili pasażerowie, robotnicy, straż celna, stukot i hałas nie ustawał ani na



Baltrigier (1143 tonny).

chwilę. Za kilka godzin „Baltrigier“ odpływał do Londynu.

A więc stałem się od dnia dzisiejszego „szip serdżeon'em“, inaczej mówiąc, lekarzem okrętowym. Bieda tylko, że mi z angielszczyzny z lat szkolnych same strzępy pozostały. Nie chcąc tracić czasu wyjąłem podręcznik i zacząłem wypisywać słówka i tłumaczyć: „czy są twoi bracia i siostry uprzejmi“? „Nie, jego wuj jest jeszcze młody“. „Czy pańska ciotka jest stara“? „Tak, wy macie wasze pióra“. Nie wypadało przecie oficerowi z prawem noszenia trzech galonów na rękawie nie umieć mówić jezykiem tego narodu, do którego statek należy. A wreszcie ciekawość mię brała, jakie to będą praktyczne lekcje języka na ulicach Londynu.

Nie zauważyłem przeto jak zmrok zapadł. Gdańsk i nowy port rozbłysnął tysiącami świateł. Dął lekki, zimowy wietrzyk. Niebo obłożone było chmurami i zwiastowało względny spokój na morzu. Po zabrudzonym i zaśmieconym pokładzie snuło się wciąż moc ludzi w różne strony, huczały jeszcze dźwigi, załadowując ostatnie paki i worki, ale hałas ten poczynał słabnąć. Przyjęto pocztę, założono i przykryto luki ładowni na głucho brezentem, ryknęła syrena, z kapitańskiego pomostu sygnał do maszyny przedzwonił kilka razy. Hałas ustał, dało się słyszeć w ciemnem i wilgotnem powietrzu kilka krótkich, urywanych słów angielskiej komendy, plusk wo-

*) Chłopiec okrętowy.

dy, daleki gwizd lokomotywy, nadbrzeżne latarnie i światła poczęły płynąć wstecz. Tylko miarowy, przytłumiony odgłos pracującej maszyny dochodził poprzez pokłady, ściany i korytarze. Statek już płynął.

Z nastaniem ciszy uczułem błogie zmęczenie. Zawinięty w miękkie, wełniane koce, leżąc na koji osadzonej nad komodą, usnąłem.

Nazajutrz zbudził mię boj, przynosząc do kabiny herbatę. Statkiem trochę poczynało kołysać. Uchyliwszy firankę spojrzałem w dal po falach. Dzień był pochmurny i szary. Przez otworzone drzwi wionął świeży, słony zapach morza wraz z jękiem szybujących w powietrzu czajek. Czajki zawsze towarzyszą okrętom, czyhając na wszelkiego rodzaju odpadki wyrzucane do morza. Mocno zbudowane i rozwinięte skrzydła o kształcie jataganu dają możność tym ptakom morskich pustyń długie godziny szybować w powietrzu bez umęczenia, nie bacząc na przeciwne wiatry. Zalatują one na wielkie odległości od brzegu. Czasem osiadają na wodzie. Od ich jękliwego głosu wieje powagą i smutkiem, samotnością i niezależnością.

Około południa słońce poczęło przebijać chmury i w lekkiej, jasnej dymce zamajaczyły brzegi wyspy Bornholm, należącej do Danji. Po drodze zaczynamy spotykać statki, zdążające w tym samym kierunku, co i my, t. j. w kierunku Kanału Kilońskiego, albo też w stronę przeciwną.

Była niedziela. W sali jadalnej przy okrągłym stoliku zapoznałem się z mojem nowem otoczeniem. Ten sam kapitan sztywny, ale uprzejmy. Z czasem przywiązał się do mnie. Dwaj inni towarzysze, „główny oficer“ i „drugi oficer“, żywo rozmawiali między sobą. Służba zręcznie biegała po schodach z dołu do góry, wnosząc coraz to nowe potrawy.

Pasażerów w I-ej klasie nie było. Przy czołowej ścianie sali pośrodku stał kredens z zegarem. Na długiej, skórzanej kanapie drzemał przepyszny kot, a niedaleko drzwi, oparty o ścianę, z serwetą pod pachą, stał boj, gotowy do usług. Słowem, zwykły obraz sali okrętowej, zwanej kajut-kompanją.

Morze zawsze ma urok tajemniczy, nietylko w dnie pełne słońca, ale nawet podczas wielkich, gęstych mgieł.

Właśnie w nocy gęsta mgła zasnuła nam drogę. „Baltrigier“ sunął coraz wolniej, co chwila podawał sygnały ostrzegawcze przeraźliwym wyciem syreny, aż nareszcie stanął, gdyż iść dalej było niebezpiecznie. Z dalekiej przestrzeni echo niosło podgwizdywanie innych statków, tak jak i my, zagubionych wśród mlecznej mgły. Czasem dochodziły z oddali rytmiczne odgłosy bujaków, uwiązanych na kotwicy, które podczas mgły dają marynarzowi możność zorjentowania się w kierunku. Robiło to wrażenie, jakgdyby jakieś włochate z głębi morskich potwory powypływały na wierzch i wylazłszy na skały, co parę minut dęły w muszle.

Tak minęła noc.

Wczesnym rankiem lekki wietrzyk przerzedził mgłę. Ruszyliśmy z miejsca. Do Holtenau pozostawało 10 mil morskich, t. j. do punktu wejścia do Kanału Kilońskiego.

Kanał Kiloński, ta ważna arterja wodna, łącząca Bałtyk z Morzem Północnem, już istnieje od 30 przeszło lat. Przecina on półwysep Jutlandzki, prowincję Szlezwig-Holsztynję, niegdyś stanowiącą część Danji, a utraconą na rzecz Niemiec. Przy wejściu do Kanału, z lewej strony, znajduje się Kil — baza wojenna niemieckiej floty. Samo zaś wejście nosi miano Holtenau i posiada dobrze zbudowane urządzenia t. zw. szluzy. Tu stoimy z $\frac{1}{2}$ godziny. Mija nas polski statek „Wawel“. Kanał długi ponad 100 km, szerokości niewielkiej, tak, że tylko dwa statki mogą się minąć, przecina kraj świetnie zagospodarowany, przecięty licznemi drogami. Lasy, zagajniki, łąki, pola, stare dwory, dobrze budowane chaty i stodoły, mosty wiszące kolejowe i drogowe, pod które, gdy statek się wsuwa, zdawaćby się mogło, że ot, ot zawadzi o nie masztami.

Po drodze przesuwamy się przez miasto Rendsburg, schludnie i grzecznie wyglądające. Domki z firankami w oknach,



Tower w Londynie.

szyby, które myją krępe i czerwone „mädchen“. Dziatwa szkolna spieszy do nauki, kawiarnie z wodnistem piwem i jeszcze gorszą kawą, godła pisane gotykiem, mieszanina, niezgadzających się ze sobą, banalnych barw, jeszcze kilka domków niby cacka z kartonu i znów pola i zagajniki.

Jest miejsce, gdzie powierzchnia wody Kanału wyżej stoi, niż powierzchnia pól. Cały Kanał posiada brzegi wyłożone kamieniem, słupy telegraficzne i latarnie elektryczne. Wszystko wymierzone, postawione i ponumerowane, tak, że już miejsca dla igły się nie znajdzie.

Raz po raz mijały nas wielkie i małe statki, to znów małe szkunery żaglowe, pędzone motorem benzynowym.

Wieczorem Kanał oświetlony dwoma sznurami latarni elektrycznych wygląda jak szeroka ulica na krańcach miasta, prowadząca wśród pól.

Od Holtenau, aż do Kanału, gdzie się on łączy z Łabą, t. j. do Brunsbütelkoog, płynie się około 7 godzin. W Brunsbütelkoog znów zatrzymujemy się aż do otwarcia szluz, poczem ruszamy Łabą wdół do jej ujścia. Brzegi płaskie i monotonne. Po 2-ch godzinach mijamy Kukshafen i „Baltrigier“ zaczyna się kołysać na falach Morza Północnego. Wiatr silniejszy, co chwila się wzmaga.

Po trzech dniach drogi zaczynamy się zbliżać ku brzegom Brytanji. Powietrze staje się łagodniejszem. Nareszcie 4-go dnia zamajaczyły brzegi Brytanji, wchodzimy do ujścia Tamizy i stajemy w Gravesend, małym porcie, na 2 godziny przed Londynem. Tu odbywa się rewizja sanitarna. Lekarz angielski (w monoklu naturalnie) przyjął ode mnie raport, zbadał chorych pasażerów, dał mi do podpisu papier, mówiąc ze mną po angielsku i nie troszcząc się wcale o to, że brakowało mi słów na odpowiedź. Wypiliśmy każdy po porcji „Soda-wiski“, poczem doktór wziąwszy zręcznie papierosa z podanej mu paczki, włożył rękawice i pożegnawszy się znikł. „Baltriger“ podjął kotwicę i zaczął sunąć wgórę rzeki, pomiędzy statkami-olbrzymami, które stały na kotwicy. Patrząc na te wielkie kadłuby wielokominowe, na wysokie maszty, potężne dźwigi na te bajecznie wygodne urządzenia, przystosowane do dalekich podróży, oblizywałem się w myśli, zazdroszcząc tym, którzy mają możność na nich pływać i oglądać dalekie kraje, te cuda, tak pięknie opisane w niezliczonych dziełach i opowiadaniach.

I nie przypuszczałem wtedy, że właśnie bliska katastrofa z „Baltrigierem“, która się miała zdarzyć za kilka miesięcy, wyrzuci mię z tego małego przybrzeżnego statku na taki kolos, który będzie rozpruwać wody oceanu.

Tymczasem „Baltrigier“ sunie, mgła się powoli rozprasza. Powietrze zaczyna być coraz gorsze od zapachu dymów miejskich. Rzeka szeroka, mętna, brzegi płaskie, wszędzie statki, dźwigi, magazyny, koleje, kominy fabryk, czasem większe kępy rozłożystych drzew. Domy schludne, piętrowe, o wyglądzie ciemnym, z ramami okien pomalowanemi na biało. Dachy najeżone szerokiemi kominami.

Ukazuje się Greenwich, domy gęstnieją, przy brzegu monumentalny gmach szkoły morskiej, a wdali na wzgórzu gmach słynnego obserwatorjum. Przy brzegu wyciągnął się rząd spichlerzy. Słońce chorym blaskiem poprzez muślin przecedza złotawo-różowe światło.

Pasażerowie wysypali się na pokład, majtkowie wraz z oficerami stoją na swych miejscach gotowi na głos komendy do rzucenia kotwicy.

(C. d. n.) *Dr. B. Kalitowicz.*

WYCIECZKA NA NARTACH.

Rankiem wyrzucił nas pociąg na mroczną jeszcze stację Zakopanego. Mróz płoszy resztki snu i znużenia podróży. Śniadanie w cukierni jeszcze pustej. „Narty na ramię! Poprawić plecaki! Wymarsz!“ Słońce leniwo bladym ząbkiem różowego złota rysuje kontury białych kopic gór, kiedy podchodzimy w Kuźnice. Tu nas już obejmuje urok cudnej krainy lasu zimowego. Wartki potok wyłamuje się z fantastycznie strojnych lodem brzegów, rzuca tylko gdzieniegdzie piany na ośnieżone kamienie i sople lodowe. Przypinamy narty i po nietkniętej bieli dróżki zaczynamy się wspinać Boczaniem. Mroźny wiatr niesie iskierki lodu — drgają w powietrzu i przywierają do twarzy. Ruch i wielka radość broni nas od zimna, a kolumnada ośnieżonych smreków osłania nieco przed wiatrem.



Czerwone Wierchy, Giewont i Kalatówki z drogi na Halę Gąsienicową.

Pochód w górę jest trochę męczący, bo narty ześlizgują się, ale każdy radzi sobie jak może. Po chwili dostajemy się na więcej otwarte zbocze. Przed nami odsłania się ostry kształt Giewontu. Cichy, wyniosły i groźny w swej białej szacie. Za nim w słońcu lśnią Czerwone Wierchy.

Cichną głosy onieśmielone majestatem piękna zaklętego w śnieżny kształt gór.

Pochód rozciąga się, bo mniej wprawni pozostają w tyle. Zwolna grunt przechodzi w faliste zbocza; zaczynają się zjazdy. Co chwilę któryś z towarzyszy przywiera do śniegu „sypiąc się“, by szybko znowu dogonić innych pod górę. Wesołe odgłosy śmiechu biorą w ramiona ośnieżone smreki i podają je echem leśnym zastępom. Jeszcze trochę lasu — trochę płaszczyzny i dochodzimy do przełęczy. Z zamarzłej w śniegach doliny Jaworzynki wypada wiatr, rzucając się nam na piersi tumanem śniegu, aby za moment przepaść w dolinie Obczyskiej. Zaczepia po drodze jednym skrzydłem poważne drzewa Boczania, tarmosząc i osypując z śniegu ich gałęzie.

Suniemy między zboczami Kopy Królowej i Magóry. Białe, nieprzystępne, obce jakieś i ciche wyglądają jak widma, nie ożywione nawet słońcem, które skryło się za chmurami. Rozmawiając, dostajemy się na płaszczyznę Karczmiska. Ani śladu tu drzewka, ani śladu kosówki; puste uroczysko, po którym niesamowicie hula wiatr.

— Oj żeby tak zastać Bustryckiego w otwartym jego schronisku.

Marzymy, o tej znanej nam z lata budzie. Nowe granitowe schronisko leży niżej, trzebaby zbaczać; przytem mocno za drogie ma ceny na nasze studenckie kieszenie.

Nie wypoczywając przyspieszamy jazdę. Zakręt, łuk, kilka upadków i szybkich „pozbierań się“ — i oto odsłania nam się jeden z najpiękniejszych na świecie widoków. Dolina Hali Gąsienicowej z kotłem Czarnego Stawu. Przed nami czernieje groźny, fantastycznie poszarpany pierścień skał Orlej Perci, otaczający Czarny Staw, zakończony klamrą Świnicy i ostrego Kościelca.

Niesamowite, a tak wymowne milczenie

granitów! Powagą majestatu gór przemawia do nas Duch świata! Oczarowani stoimy wpatrzeni w tę potężną panoramę.

A u naszych stóp...

Na hali spokój i cisza. Szałasy wydają się rozrzuconemi, białemi kamieniami. Ni śladu życia, ni śladu drzewka — Niżej czernieje dziwnie skórczona plama lasu, tonąca w wysokim śniegu.

Któryś z nas dojrzał delikatną smugę dymu, unoszącą się z budy Bustryckiego i nagle głośne „Hurra“ zatargało powietrzem.

— Chłopcy — Bustrycki jest! Będzie herbata, jajecznica... ciepły kąt bez wiatru, wypoczynek — brzmią naprzemian tęskne marzenia zmęczonych.

Zimny wiatr dawał się nam we znaki, to też szybko mkniemy na dół, śnieg zgrzyta; czasem zadudni odgłos upadku. Za chwilę wszyscy witamy błogie ciepło kuchenki i rozradowane, poczciwe oblicze gazdy Bustryckiego.

— Witajcie panicze! Dobrzeście-ta zrobili, coście zjechali. Cni się człowiekowi samemu, przyszedłem tutaj zajrzeć na budy, czy ta śnieg nie zasuł. Rad wam jestem panowie „studanty“

A panowie „studanty“ już siedzą na ławkach i pustoszą worki. Za chwilę dymi w szklankach herbata, ówdzie jajecznica na słoninie nęci zgłodniałych.

Narty stoją szeregiem na werandzie, a gromadka „srogich“ narciarzy ani myśli pójść w góry. Część z nas jednak za chwilę przypina narty, bo śnieg oświecony słońcem wabi.

W stronę Liljowego ruszamy we czwórkę.

Zakosami wspinamy się pod górę, rozkoszując się kryształowem powietrzem. Wiatr przycichł; tylko lekki podmuch szeleści, tocząc kryształki śniegu po zmarzłej powierzchni. Na jednem z „pięter“ pod Liljową przełęczą zatrzymujemy się i rozglądamy. Majestatycznie i uroczyście wznoszą się białe kolosy kopuł na prawo, zaś lewe skrzydło górskiego łańcucha, ciemnieje stromemi ścianami szczytów. Żaden głos ni szmer nie mąci ciszy. Pustka — tylko Bóg nad nami!

— Jaz-z-da na dół!

Suną narty śnieg miga, ucieka z pod nóg, wiatr gra w uszach, zapiera oddech!

— Czy to lecimy na skrzydłach? — Śnieg, niebo, powietrze zlewają się w jedną biel? Narta poddaje się falistości gruntu, płynie jak ostry kajak; Ale nagle... płat lodu przysłonięty śniegiem podrywa narty. Kilkanaście koziołków, Narta! — ręka! — noga!

— „Tylko nie wypuszczać z rąk kijów!“ Coś miękkiego; — mokro w ustach! Wpadliśmy w sypki śnieg zagłębienia. Jeden za drugim w tumanie pyłu śnieżnego gramoli się i ogląda za towarzyszami. Cało i zdrowo! Zwykła przygoda, nie pierwsza i nie ostatnia. Śnieg, byle nie lawina, dla narciarza nie wrogi.

Zjazd łagodnieje. „Niesie“ nas teraz spokojnie, równo.

Słońce już chowało swoją promienną głowę za Żółtą Turnię, kiedy stanęliśmy przed werandą schroniska, gdzie zaniepokojony gazda i koledzy witają nas radośnie. Bulgoce woda w saganach. Jedząc wypoczywamy, a gazda kończy jakieś opowiadanie:

— „Tak widzicie... góry mają swoje cuda i strachy, ale je człowiek miłuje i cni się zimą góralowi na dole we wsi — haj!“

Podobno przez parę godzin nie zamykały się Bustryckiemu usta, jakby pragnął się nagadać za czasy samotnych dni. Kocha on góry, że nawet zamożna i wygodna chata nie zatrzyma go długo na „dole“ bo „cni“ się mu za halą, za ostrym Kościelcem, gdzie już jako młody juhas pasał owce. Nie chce schodzić do ludzi, ale rad im, kiedy przyjdą na halę. I nie dziwimy się jego miłości dla gór. Kto zna je zimą i latem, w słońcu wiosennem i w groźnej burzy, musi ukochać to wspaniałe dzieło boskie, musi czuć się szczęśliwy, kiedy może przebywać w tej krainie piękna.

Wybladłe, błękitne oczy gazdy mówiły więcej niż jego usta. Wstydził się stary swojej miłości do gór; miłości syna gór i uwielbienia artysty-prostaczka; więc pozorował swe przyjście na halę chęcią zy-

sku. Żegnaliśmy górala z wdzięcznością za jego gościnność serdeczną.

— Powrotna droga szła szybciej, mimo gęstych „sypań“ w śnieg, zwłaszcza na zakrętach. Są takie miejsca w drodze z hali, gdzie każdy słabszy narciarz czuje się w obowiązku przewrócić; są to jak nazwaliśmy: „familijne groby“, w których zagrzebanie się wywołuje salwy śmiechu u reszty towarzystwa.

Z pełnemi płucami krystalicznego powietrza, z radością w sercu wracaliśmy w stronę dworca.

Koło Nowego Targu żegnaliśmy spojrzeniem góry. W poświacie wschodzącego księżyca czerniła się jeszcze długo sylwetka Tatr. Wreszcie znikła. Pociąg wiózł zmęczoną gromadkę narciarzy rozmarzonych wrażeniami... i mocno głodnych.

Z. Kr.

„KRZAK DZIKIEJ RÓŻY W CIEMNYCH SMRECZYNACH“ JANA KASPROWICZA.

(*Po odczytaniu odnośnego wiersza — analiza* *).

I.

Dokąd autor nas przenosi?

Przenosi nas poeta między zwaliska skał, wśród których rozlewają się stawy tatrzańskie.

Co odbija od tła tego?

Od tła tego odbija krzak dzikiej róży.

„W ciemnosmreczyńskich skał zwaliska,
Gdzie pawiookie drzemią stawy,
Krzak dzikiej róży pons swój krwawy
Na plamy szarych złomów ciska.“

Jakiego artystycznego efektu używa poeta, tworząc obraz?

Autor używa tu kontrastu. Góry — skały — wężowiska — turnie, a wśród tego wątły krzak dzikiej róży,

Jak autor uwydatnia fakt, że krzak ten nieswojo czuje się wśród tego otoczenia?

Mówi, że jest samotny, zadumany, lęka się burzy, bo wie, że ta zniszczyć go może.

„Samotny, senny, zadumany,
Skronie do zimnej tuli ściany,
Jakby się lękał tchnienia burzy.“

Jaki kontrast uderza nas jeszcze?

Obok krzaku róży stoi próchniejąca limba.

„A tylko limba próchniejąca,
Spoczywa obok krzaku róży.“

Rozwiązać symbolikę sonetu.

Krzak róży wśród skał i wężowisk — to człowiek żyjący w środowisku, w którem nie rozumieją jego myśli i pragnień, w którem czuje się samotnym duchowo, a to samotnictwo jest męką jego bezmierną.

W czem jeszcze tkwi myśl alegoryczna?

Obok krzaku kwitnącego, pełnego życia, stoi próchniejąca limba. Zamierające życie daje początek życiu drugiemu. Takie jest prawo natury.

U którego z poetów spotkałyśmy się z podobnemi myślami?

Podobne myśli zaznacza Słowacki w Anhellim, w scenie cmentarnej, gdzie jedno życie się kończy, tam drugie się zaczyna. — Anhelli widzi czaszkę, a w niej gniazdo z małemi ptaszętami. Oto symboliczne przedstawienie tego prawa natury. Oto tajemnica grobu.

Również Asnyk w jednym ze swoich sonetów z cyklu „Nad głębiami“ mówi, że twórczość pokoleń minionych nie ginie, przeszłość nie umiera, myśli dawne odnawiają się w pokoleniach następnych.

Jaka jeszcze alegorja tkwi w tem zestawieniu życia ze śmiercią?

Często się zdarza, że myśli piękne, uczucia podniosłe psują inni, kładąc na nie piętno śmierci moralnej.

Na czem polega artyzm formy tego sonetu?

Na piękno formy składają się obrazy niezwykłe, charakterystyczne wyrażenia, dużo elementu malarskiego. Piękną jest np. metafora „pawiookie stawy.“ Ciemne, metaliczne barwy wód tworzą pawie kolory. Uderza kontrast

*) Patrz J. Kasprowicz, Dzieła poetyckie. Wyd. zb. L. Bernackiego. Lwów 1912. t. IV. str. 195.



Jan Stanisławski: Tatry.

barw: szare skały, a od nich odcina się czerwona barwa róży. Ładną personifikację mamy w wyrażeniu: „krzak skronie do zimnej tuli ściany." Chce tem poeta zaznaczyć, że krzak róży znalazł się w środowisku nieodpowiedniem sobie.

Którego z malarzy naszych przypomina Kasprowicz w tym sonecie?

Przy czytaniu tego sonetu staje mi przed oczyma duszy obraz Wyczółkowskiego „Czarny staw nad Morskiem Okiem" i „Tatry" Stanisławskiego.

Co może być genezą sonetu?

Genezą sonetu jest zastanawianie się poety nad życiem człowieka, który, postawiony dziwnem zrządzeniem Opatrzności wśród warunków, nie odpowiadających jego duszy, męczy się koniecznością życia ciężkiego.

II.

Co za związek ideowy jest między omawianemi sonetami?

Przeszła burza. Zabłysło słońce. Krzak róży oparł się wichrowi, ukryty w załomach skalnych. I teraz znów płonie w słońcu, odcinając się od tła szarego. Limbę zaś próchniejącą gwałtowna obaliła burza.

„W skrytych załomach, w cichym schronie
Między graniami w słońcu płonie
Krzak dzikiej róży...
A obok limbę toczą pleśnie,
Limbę, zwaloną tchnieniem burzy."

Dlaczego tak się stało?

Krzak róży miał w sobie siłę wielką, zapomocą której oparł się wichrowi. Limba, choć pozornie silna, nie miała mocy wewnętrznej.

Rozwinąć myśl tej alegorji.

Siła duchowa odnosi zwycięstwo nad siłą materjalną. Moc serca ma wielkie w życiu znaczenie.

Który z poetów przedstawił także tę prawdę obrazowo?

Mickiewicz daje w Farysie prześliczny obraz walki jeźdźca z sępem. Sęp — to człowiek potężny materjalnie, Farys ma olbrzymią siłę ducha, którą pokonuje okrutnego sępa.

Co według Kasprowicza wyrabia tę moc ducha?

Tę moc ducha wyrabia milczenie i cierpienie. Krzak róży, zamknięty we wnętrzu własnem, spotężniał duchowo i burzy oprzeć się zdołał. Przytem cierpienie, spowodowane życiem wśród nieodpowiednich warunków, zahartowało także roślinkę.

Jakie problemy rozwiązuje więc poeta?

Człowiek, który chce wyrobić w sobie moc ducha, nie mówi wiele, nie rozprasza sił swoich na zewnątrz. Tężyzna wewnętrzna wyrabia się w skupieniu.

Rozwiązuje też Kasprowicz problem cierpienia. Nie jest ono irracjonalnem i ma wielkie zadanie do spełnienia. Powinno uszlachetnić duszę, obudzić siły i moce wewnętrzne, potrzebne do walki z życiem. Cierpienie jest młotem, hartującym serce. Ludzie najlepsi pochodzą zawsze z krainy wielkich cierpień.

Co powiedzieć można o poecie po przeczytaniu tych sonetów?

Kasprowicz — to człowiek, ujmujący głęboko zagadnienia życiowe. Zna wartość cierpienia i jego moc królewską. Był wprawdzie czas, w którym brzmiała u Kasprowicza rozgłośna skarga na ból życia. Był to jednak okres przejściowy, po którym zrozumiał poeta najwyższą mądrość cierpienia i boskość nauki Krzyża.

Jaki jest stosunek autora do przyrody?

Kasprowicz kocha przyrodę. Pociąga go zarówno czar groźnych jej zjawisk, ponurych blasków, jak i subtelne piękno delikatnych barw i świateł. Uznaje poeta, że istnieje związek między przyrodą a duszą ludzką. Człowiek współżyje z naturą, która działa na niego w rozmaity sposób. Gdy pięknie i jasno, gdy pełno kwiatów i woni, lżej człowiekowi na duszy. Gdy szaro i smutno na świecie, gdy słońce się schowa za chmury i na biedną ziemię nawet nie spojrzy, w sercu człowieka źle i biednie, beznadziejność tłoczy okrutna. Nieraz jednak i człowiek nagina przyrodę do swoich przeżyć. Gdy serce szczęśliwe, to nawet wicher jesienny gra mu cudowną melodję, nawet szaruga jesienna jasności zaćmić nie może. Gdy zaś burza i walka w duszy, gdy ból nami miota, nie cieszy nas wtedy i słońce przejrzyste, nie zachwycają kwiaty przepyszne, które zwyczajnie czarują swem pięknem.

Jaka refleksja nasuwa się w tej chwili?

Człowiek powinien wyrabiać w sobie taką moc ducha, by jego spokoju wewnętrznego nic zakłócić nie mogło. Radość i smutek, ból i rozkosz, jasność i ciemność — wszystko ma duszę wznosić na szczyty, ponad życie.

M. Z.

MIEJSKA STRAŻ OGNIOWA.

Wedle „Technik für Alle“.

Potęga ognia! Czyśmy się kiedy głębiej zastanowili nad siłą tych nieuchwytnych, złoto-czerwonych, wiecznie ruchliwych języków ognistych? Ileż zaważył ogień w rozwoju kultury i cywilizacji, jakim mocarzem jest w przemyśle, jakim skarbem w naszem życiu codziennem, jak strasznym, nieubłaganym niszczycielem był dla setek i tysięcy ludzi, gdy, skruszywszy pęta, niszczył życie i mienie człowieka. „Schrecklich ist des Feuers Macht“ woła Schiller w „Das Lied von der Glocke“ — jest to echo niezliczonych krzyków bezsilnej rozpaczy, co się wyrywały po wielekroć z piersi ludzkich na widok przemożnego żywiołu. Dziś, dzięki wspaniałym postępom w organizacji i technice straży ogniowej, niebezpieczeństwo i straty są bezporównania mniejsze.

Jakąż jest ta organizacja straży? Po wsiach istnieje straż ogniowa z ludności miejscowej złożona; nabyła ona przez wspólne ćwiczenia pewnej umiejętności ratownictwa, posiada niezbędne przyrządy w postaci sikawek, drabin i t. p. Kto się do straży zapisał, obowiązany jest stawić się w razie alarmu na plac boju z ogniem.

Po miastach strażactwo traktowane jest jako stały zawód. Chodzi tu o ludzi zimnej krwi, nadludzkiej nieraz odwagi i szybkiej decyzji, połączonej z trzeźwą

rozwagą; dlatego przyjmuje się mężczyzn dopiero w wieku około 35 lat, gdyż wtedy posiadają powyższe przymioty, a ciągłe ćwiczenia fizyczne utrzymują sprawność młodzieńczą ciała. W chwilach wolnych, obok ćwiczeń zawodowych, każdy uprawia swój osobisty fach; na strażaków przyjmu e się bowiem fachowych w jakimś kierunku: ślusarzy, kowali, stolarzy itd., a zwierzchność czuwa nad tem, by każdy sprawność w swym zawodzie utrzymywał, owszem, rozwinął dalej. Przecież strażak — to człowiek narażony tak często na wypadek, który go może uczynić niezdatnym do dalszej służby w straży pożarnej — specjalny zawód zapewni wówczas każdemu możność dalszego zarobkowania. — Jako strażak zaś musi każdy opanować całą technikę tego zawodu, by w razie potrzeby umieć równie dobrze zająć miejsce szofera, jak zakładać pompy, ustawiać drabiny, wynosić czy sprowadzać zagrożone ogniem osoby i t. d. Każdy musi być na wszystko gotów.



Sygnalizowanie.

A jaki jest sam przebieg akcji ratunkowej? Oto w rozmaitych punktach miasta znajdują się „stacje" straży pożarnej. Wiedzieć dobrze, gdzie w okolicy znajduje się najbliższa taka „stacja" i w razie pożaru dobiec do niej, by czemprędzej sygnalizować — to obowiązek każdego mieszkańca. Zaufajmy umiejętności straży ogniowej, nie myślmy, że sami zrobimy więcej przez nieprzytomne i niewłaściwe gaszenie: leje się zwykle wodę bez miary, ale przeważnie i bez sensu... Przytem, ileż rzeczy, jak dym, lekki swąd, dla nas niepodejrzany, jest dla strażaka wskazówką, że zło ukrywa się jeszcze gdzieś w ścianie, pod podłogą i t. p.

Wracajmy do sygnału: biegnie on momentalnie do centrali telegraficznej, a stamtąd skierowany zostaje natychmiast, często przez automatyczne urządzenia, do posterunku straży ogniowej. Urzędnik czuwa tu stale; na pierwszy dźwięk sygnału daje natychmiast znać do mieszkania strażaków, a w czasie gdy oni się zbierają, względnie ubierają, o ile sygnał był w nocy, patrzy na numer stacji, która sygnalizowała (aparat Morsego wypisuje ten numer), otwiera specjalną księgę pod tym numerem i wyciąga stamtąd kartki z podaniem dokładnem adresu tejże stacji. kartki te spuszcza następnie przez okno czekającemu już strażnikowi. Wszystko to trwa około 15 sekund, nawet bowiem w razie sygnału nocnego strażacy ubierają się momentalnie i spuszczają się po słupie (o ile ich mieszkanie jest na piętrze) na dół, gdzie tymczasem puszcza się w ruch samochody i najdalej w 30 sekund po sygnale pierwsze 3 auta wyruszają w miejsce wskazane przez kartki z adresami. Plan miasta ułatwia im wybranie najbliższej drogi. Pierwsze auto zaopatrzone jest w pompę motorową, której wydajność wynosi 1000—2000 litrów na minutę, a ciśnienie dochodzi do 20 atmosfer; pompę tę zakłada się do hydrantów miejskich, dlatego przewodnik ma dokładną mapę rozmieszczenia hydrantów ze wskazówkami, ile wody, pod jakiem ciśnieniem i t. p. wydaje; pompa ssie wodę nadzwyczaj gwałtownie, w jednym hydrancie mogłoby wody zbraknąć, trzeba znać położenie sąsiedniego. Kilka minut drogi wystarcza do zorjentowania się w tem; zresztą na pierwsze potrzeby jedzie rezerwoar 300—500 litrowy wody. Drugie auto posiada drabinę ruchomą; dochodzi ona czasem do 30 metrów wysokości, choć ogólnie 25 m. wystarcza. Drabina ta oparta o dom zajęty ogniem może służyć za drogę ratunku dla jego mieszkańców i za drogę dla strażaków. Zazwyczaj



1) Urzędnik czuwający stale przy aparacie.
2) Aparat Morsego.

w trzeciem aucie jedzie kierownik całej akcji ratowniczej. Prócz wymienionych przyrządów każde auto zaopatrzone jest w szereg urządzeń ratowniczych, ma też i urządzenia sanitarne.



1) Wyruszenie pierwszych aut.
2) Zakładanie pompy, ustawianie drabiny.

Po przybyciu na miejsce rzut oka wystarcza doświadczonemu kierownikowi do zorjentowania się w sytuacji. Pierwszą rzeczą jest ratowanie zagrożonych ludzi, równocześnie zakłada się pompę.



Ratowanie życia i mienia mieszkańców płonącego domu.

ustawia drabinę, ewentualnie strażacy nakładają maski, o ile chodzi o miejsca wypełnione gazami. Dobroczynna woda spływa na ogień; w nowszej technice chodzi jednak nietylko o zalanie ognia, ale i o uratowanie zarówno przed ogniem jak i wodą mebli, towarów w sklepach i t. d., dlatego zarzuca się na te przedmioty nieprzemakalne zasłony.

Ogromna sprawność i umiejętność straży pożarnej zwycięża zazwyczaj w krótkim czasie zło, o ile przez karygodny nierozum nie sygnalizowano o pomoc zbyt późno. Sygnalizować natychmiast, choćby zło zdawało się małem dla niedoświadczonego laika, no, i czekać pod „stacją" na straż, by jej dać jeszcze bliższe wskazówki, to obowiązek sumienia. Zawierzmy tym ludziom o zdumiewającej często odwadze i rozwadze wśród grozy ognia i miejmy w sercu cześć dla tych, co z prostotą i zapoznaniem własnego heroizmu niosą życie swe po tylekroć w ofierze za życie i mienie swych bliźnich.

B. Jar.

WZNOWIENIE PAŃSTWA KOŚCIELNEGO.

Dnia 11. b. m. w kościele św. Jana Lateraneńskiego w Rzymie nastąpiło spotkanie Mussoliniego w kardynałem sekretarzem stanu Gasparrim i podpisanie konkordatu, regulującego stosunek królestwa włoskiego do Kościoła. **Odnowienie Państwa Kościelnego zapewnia Stolicy Apostolskiej prawa suwerenności państwowej w obrębie określonego terytorjum, Ojciec św. przestaje być więźniem, a staje się niezawisłym suwerenem** na równi z naczelnikami państw świata, **Kościół katolicki zyskuje legalizację swego nadnarodowego charakteru** przez prawo pozytywne, **ustaje spór Italji ze Stolicą Apostolską,** trwający od roku 1870.

POLSKA KATOLICKA Z ENTUZJAZMEM WITA SWEGO WOLNEGO I SUWERENNEGO PAPIEŻA.

* * *

Obszerny i wyczerpujący artykuł, dotyczący Państwa Kościelnego podamy w następnym numerze.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

NADZWYCZAJNY ROK JUBILEUSZOWY. Z okazji 50-o letniej rocznicy kapłaństwa, Ojciec św. wydał dnia 6. stycznia b. r. konstytucję apostolską, w której ogłasza w całym Kościele katolickim nadzwyczajny, powszechny rok jubileuszowy, *„extra ordinem"*, który trwać będzie do 31. grudnia b. r. — Ojciec św. żywi nadzieję, że „korzystając z otwarcia szeroko na cały ten czas duchownych źródeł Kościoła, będą mogli wierni czerpać z nich środki zbawienne, tak, by obyczaje prywatne i publiczne poprawiły się, wiara wzmocniła się i by coraz bardziej rozpalała się gorliwość pobożności chrześcijańskiej. Jeżeli zaś, jak to często i niedawno polecaliśmy, duch modlitwy na nowo zakwitnie wśród ludu chrześcijańskiego, to zarówno My, jak i cały

Kościół będzie mógł w nim znaleść najsilniejszą podporę w trudnych czasach, jakie obecnie przeżywamy".

Warunkiem zyskania odpustów Roku Jubileuszowego jest nawiedzanie kościołów (o ile po za Rzymem, to wyznaczonych przez miejscowych ks. Biskupów), modlitwa w intencjach Ojca św., a zwłaszcza o nawrócenie grzeszników, usunięcie herezji i schizmy, o pokój i zgodę między panującymi, nadto: dwa dni postu poza zwykle obowiązującemi, Komunja św., (oprócz wielkanocnej) i drobna jałmużna na jaki cel pobożny, a zwłaszcza na dzieło rozkrzewienia wiary.

Nie ustają też w tym Roku jubileuszowym inne już udzielone odpusty, a nadto udziela Ojciec św. odpustu 7 lat i 7 kwadragen tyle razy, ile razy wierni udadzą się na modlitwę przed Najśw. Sakramentem, nawet przed zamkniętem Tabernaculum, modląc się według intencyj Ojca św. — Ci, którzy te pobożne odwiedziny odbędą codziennie przez cały tydzień, mogą zyskać odpust zupełny pod zwykłemi warunkami.

SEJM POLSKI RATYFIKOWAŁ dn. 7. b. m. międzynarodowy traktat przeciwwojenny, t. zw. pakt Kelloga. — Jeszcze we wrześniu 1927 roku Polska wystąpiła w Lidze Narodów z wnioskiem o zawarcie paktu potępiającego wojnę. Niektórzy członkowie Ligi nie zgodzili się na pakt wiążący, więc Polska zmieniła go na deklarację odnoszącą się tylko do wojny zaczepnej. Deklarację tę przyjęto jednomyślnie. W grudniu tegoż roku, sekretarz Stanów Zjednoczonych Kellog zaproponował znów pakt powszechny, w formie bardzo zbliżonej do pierwszej propozycji polskiej, jak i do uchwalonej deklaracji. Pakt ten przyjęto i podpisano w Paryżu dn. 28. sierpnia 1928 roku.

POMNIK MARJI KONOPNICKIEJ we Lwowie, stanie na skwerze placu Halickiego. Budowę pomnika postanowiono oddać rzeźbiarce lwowskiej Lunie Drexler.

ZASŁUŻONA POWIEŚCIOPISARKA NASZA MARJA RODZIEWICZÓWNA, odznaczona została przez Ojca św. orderem „Pro Ecclesia et Pontifice".

PRACA W POLSCE W LICZBACH. Na 30 miljonów mieszkańców w Polsce, jest czynnych zawodowo 7,733.247 mężczyzn i 6,183.813 kobiet. Odnośnie do wieku: między 14—20 rokiem życia zarobkuje około 3 miljony osób, między 20—30 rokiem życia około $3^1/_2$ miljona, między 30—40 rokiem życia około $2^1/_2$ miljona. Ludzi starszych, około 60-cio letnich, zarobkuje u nas około 1,200.000.

PAWILON PRACY KOBIET NA WYSTAWIE POZNAŃSKIEJ. Przygotowaniem urządzeń tego pawilonu zajęło się Pols. Stow. Kobiet z wyższem wykształceniem. Największe zainteresowanie budzi dział pracy umysłowej Kobiet. Wystawa wykaże o ile i w jakich kierunkach pracuje Polka twórczo i jakie są jej zdobycze w wiedzy, w piśmiennictwie, czystej nauce, w pedagogji, prasie, ustawodawstwie, oraz w pracy zawodowej, jak zaznacza się jej udział w szkolnictwie wyższem i życiu organizacyjnem. Obecna wystawa pozwoli nam ocenić rolę kobiet we wszystkich dziedzinach prac po 10 latach energicznego dążenia do samodzielności ekonomicznej i współpracy w zdobyczach kultury.

KURSA NARCIARSKIE. „Pif" czyli Państw. Instytut Wychowania Fizycznego z Warszawy urządził dwutygodniowy kurs narciarski w Zakopanem, ukończony 15 stycznia. Młodzi uczestnicy i uczestniczki kursu zostali poddani egzaminowi sprawności narciarskiej biegu płaskiego (na równi) i zjazdów w terenach górskich. Również Krakowskie Kursa Wychowania fizycznego przy Uniwersytecie Jag. przeprowadziły w tym czasie dziesięciodniowe podobne kursa w okolicy Żywca.

MIĘDZYNARODOWE ZAWODY NARCIARSKIE W ZAKOPANEM odbyły się w dn. 5—10 b. m. O doniosłości ich w życiu sportowem świadczy zainteresowanie prasy zagranicznej, która przysłała około 50 swych reprezentantów. Udział w zawodach biorą: Anglja, Czechosłowacja, Finlandja, Francja, Jugosławja, Łotwa, Niemcy, Norwegja, Polska, Rumunja, Szwajcarja, Szwecja, Węgry i Włochy. W biegu pań odniosła zwycięstwo nasza młoda narciarka Staszel-Polankowa.

BELGIJSKI „LLOYD ANVERSOIS", wpływowy organ spraw morskich, poświęcił Gdyni poważny artykuł, w którym stwierdza stały wzrost naszego portu i rokuje mu przewyższenie ruchu portowego Królewca i Rygi.

NAWODNIENIE SAHARY z dziedziny fantastycznych powieści, zaczyna wchodzić na drogę rzeczywistości. Projekt tego gigantycznego przedsięwzięcia przedłożył rządowi francuskiemu inż. Braman z ramienia pewnego amerykańskiego konsorcjum, które zamierza finansować te prace. Największa ta pustynia świata obejmująca 6,180.000 km² powierzchni z 2 miljonami ludności, w trzech czwartych należy do Francji.

GŁÓD W ROSJI, który trwał od przewrotu bolszewickiego i który w 1922 r. zabrał 4 miljony ludzi, znów zagraża temu żyznemu krajowi. Nawet wojsku zmniejszono porcje chleba, który wogóle wydaje się za kartkami, jak za czasów wojny. Mąkę białą można dostać tylko na receptę lekarską.

MECHANICZKI FABRYK SAMOCHODÓW. W wielkim koncernie fabryk amerykańskich „General Motors" przyjęto wielką ilość pracowniczek. Kobiety są na równi przyjmowane



Kl. V B. gimn. SS. Urszulanek w Krakowie na wycieczce do Sierczy.

z pracownikami i otrzymują równą płacę. Mechaniczki uznane zostały jako więcej uzdolnione i pracowitsze od mężczyzn. Takie samo zdanie o swej pracy wyrobiły sobie szoferki i inżynierki.

PROTEST PRZECIW WYŁĄCZANIU KOBIET Z LISTY ŁAWNIKÓW DO SĄDU. Według traktatu wersalskiego w części 13, dotyczącej zagadnień pracy, istnieje zastrzeżenie, że w każdej sprawie czy konwencji obchodzącej pracownice-kobiety, muszą być powołane rzeczoznawczynie. Obecnie organizacja Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych domaga się od rządu mianowania obok ławników również ławniczek z pośród przedstawionych przez Związek władzom kandydatek. Dalsze ignorowanie tego paragrafu traktatu byłoby niedopuszczalne, jako złamanie traktatu pokoju.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Brodacki F.: „BUDOWA WSZECHŚWIATA" z 17 ryc. i 12 tablicami. — Lwów, Książnica-Atlas. — Książka ta dając wiadomości pozytywne w przystępnej formie (wiadomości gimnazjalne wystarczą, by ją zrozumieć), wypełnia przykrą lukę w naszej literaturze astronomicznej. Tajemnicze kanały Marsa, zagadka zapasów cieplnych słońca, światy oddalone od nas miljony lat świetlnych, oto tematy opracowane przez młodego uczonego. Szkoda tylko, że rozdział o warunkach powstawania życia, nie jest pod względem naukowym dość głęboko ujęty. Twierdzenie wysnute z doświadczeń i zdobyte po wielu, wielu latach pracy wszechstronnej: „omnis ovo ab ovo" autor ignoruje i stawia na jego miejsce możliwości fantastyczne, które, oby go doprowadziły bodaj do wskrzeszenia zmarłych. Stworzyć bowiem warunki podłoża nieorganicznego, na którem mogłoby powstać samorzutnie życie, chyba ani jemu, ani jego następcom nie uda się poza terenem bujnej wyobraźni. *M. Sl.*

J. O. Corwood: „NAJDZIKSZE SERCA". Przekład J. Marlicza. — Nakł. Księgarni Sw. Wojciecha w Poznaniu. — Wśród śniegów i lodów bezludnej Kanady północnej kryje się wraz z żoną człowiek, niesłusznie o zabójstwo posądzony. Jeden ze ścigających ich policjantów ujęty słodyczą kobiety, ofiarnością i prawością zbiega, udziela im pomocy. — Wstrząsające obrazy walk, głodu i zarazy, przeplatane ustępami tkliwego, może zbyt sentymentalnego uczucia. Rzecz napisana z talentem. Wydanie staranne.

J. O. Corwood: „ŁOWCY WILKÓW". — Nakład Księgarni św. Wojciecha. Winieta okładkowa S. Norblina — Powieść zajmująca, roztaczająca przed czytelnikiem obraz dalekiej, północnej puszczy i dzikich jej mieszkańców. Szkoda tylko, że towarzyszy jej nieustannie akompanjament brzęku pieniędzy, bo piękno szukane dla zarobku, traci w wielkiej mierze ową subtelną woń ducha.

Władysław Umiński: „ZWYCIĘZCY OCEANU" z ilustracjami E. Bridge'a. — Nakładem Gebethnera i Wolffa. — Porucznik Ebb i inżynier Elski poważnili się w pogoni za wężem morskim. Sprawę tę ma rozstrzygnąć pojedynek, lecz kapitan Hopkins proponuje w zamian zato wspolną podróż czółnem przez Ocean Spokojny z San Francisco do Hong-Kong. Przyłącza się do nich Sir Morton chory na „spleen" i wskutek tego żądny wrażeń. To też obfituje w nie cała powieść. Niemile tylko uderza stosunek Anglika do Indjan dopuszczającego się nawet znieważania zwłok. Trudno też zgodzić się z autorem, który uważa Indjanina za „łotra", gdy ten opuszcza Białych, w chwili coprawda bardzo krytycznej, ale za to, że okradli jego współbraci z talizmanu. Książka bardzo zajmująca.

Władysław Umiński: „SYNOWIE PUSZCZY". Ilustracje St. Bobińskiego. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Autor przedstawia życie puszczy nad Prypecią. Wprost czarujący jej urok, jej niebezpieczeństwa, wielkość dusz, które w niej wychowały się, czynią z książki tej prawdziwy mały klejnot. Oby nie zabrakło jej w żadnej bibljotece szkolnej.

KTO PRAGNIE POGŁĘBIĆ MUZYKĘ KOŚCIELN. w duchu dobrze zrozumianej liturgji, niech zapozna się z miesięcznikiem „HOSANNA“, wychodzącem pod red. X. W. Orzecha, Tarnów, Lipowa 21. Zeszyt 1/1929 zawiera: *X. W. Orzech:* Niezmienne stanowisko. — *X. J. Matulewicz:* Offertorium. — Obchody 25-lecia „Motu Proprio“. — Wiadomości bieżące. — Wydawnictwa muzyczne. — *C. Halski:* Nauka harmonji. — Przegląd pism. — Wynik konkursu kompozytorskiego. Dodatek nutowy: I. *B. Poradowski:* „Jezus malusieńki“ (na chór mieszany); *J. Orzech:* „Gdy się Chrystus rodzi“ (na chór mieszany).

NADESŁANE.

KRAKOWSKIE KOŁO ZWIĄZKU B. WYCHOWANEK SS. URSZULANEK rosnąc w liczbie, roszerza swoją działalność, spotykając się z wielkiem zainteresowaniem sfer naszego miasta, Dnia 19. I b. r. urządziło zabawę w sali Tow. Wzaj. ubezpieczeń, celem zdobycia funduszów na budowę domu wypoczynkowego. Komitet zabawowy z prezesową Koła p. Witkowską dołożył wszelkich starań i osiągnął swój cel. Ożywiona zabawa przeciągnęła się do rana w przemiłej atmosferze wytworności, gromadząc elitę towarzystwa.

Gimnazjum SS. Urszulanek w Stanisławowie.

ZARYS DZIESIĘCIOLECIA ODRODZONEJ POLSKI.

(Praca konkursowa).

Dziesięć lat minęło od wielkiej chwili, gdy na zegarze dziejowym wybiła godzina niepodległości ojczyzny. — Chwila ta oczekiwana przez wszystkie polskie serca, chwila wyśniona przez piewców narodowych — stała się rzeczywistością.

Mamy ojczyznę wolną, silną, zasobną, a jeśli wiele jeszcze jest braków, jesteśmy jednak na drodze postępu i rozwoju w każdym kierunku.

Długie lata niewoli, krępujące nas pod względem narodowego, gospodarczego i duchowego rozwoju — poczyniły nam bezsprzecznie wielkie szkody.

Kordony zaborów, które były niejako wykresem różnic ustrojowych, administracyjnych, różnic pod względem życia gospodarczego i form prawa prywatnego, spowodowały wytworzenie się troistego typu psychicznego Polaka.

Brak jednolitości duchowej w społeczeństwie, zastój na polu państwowego, samodzielnego życia — to trudne do zatarcia ślady, dodajmy zaś do tego szkody, jakie poczyniła wojna, sprowadzając ruiny wielu domów, instytucyj, zostawiając tysiące sierót i inwalidów, powodując dewaluację pieniądza — a będziemy mieli obraz stosunków, w jakich Polska wchodziła w nowe życie. Kiedy dla innych państw zakończenie światowej wojny było zarazem początkiem ustalenia się stosunków, Polska, która była jednem wielkiem pobojowiskiem, musiała stawiać pierwsze kroki życia politycznego wśród walk i zmagań się o ustalenie granic młodego państwa. — Na mocy traktatu wersalskiego z 28-o czerwca 1918 r., otrzymaliśmy Wielkopolskę i Pomorze. Lecz zwycięska koalicja nie załatwiła kwestji granicy zachodniej.

Nie została też załatwiona sprawa Śląska Górnego, Śląska Cieszyńskiego, Wileńszczyzny, granicy od Czechosłowacji i od Prus Wschodnich. Plebiscyt miał rozstrzygnąć o przynależności pogranicznych ziem, gdzie żywioł polski górował lub był poważnie reprezentowany.

Wielkich trzeba było wysiłków oręża polskiego, licznych zabiegów dyplomatycznych, wielka musiała być zbiorowa wola narodu, by ustalić granice, na które czyhały z jednej strony przebiegłe manewry niemieckie, z drugiej krwawe wysiłki „czerwonej armji.“

I zwyciężyliśmy. Bóg był z nami i Ta, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie.

Bohaterskie czyny bojowe polskiego żołnierza, „Cud nad Wisłą“, obronił Polskę i kulturę europejską od zagłady bolszewickiej hordy.

Po ciężkich walkach stanął rozejm, a *18 marca 1921 r., na mocy pokoju ryskiego, otrzymaliśmy granicę wschodnią, zatwierdzoną ostatecznie przez przedstawicieli państw sprzymierzonych 15 marca 1923 r.*, co było niemałym triumfem dyplomacji polskiej.

W 1922 r. odzyskała Polska Wileńszczyznę

dzięki okupacji orężnej, a następnie wypowiedzeniu się Sejmu Wileńskiego.

Bohaterskie wysiłki robotników górnośląskich przypominały Europie nasze prawa do tej prastarej dzielnicy piastowskiej. Trzykrotne rewolucje, *powszechne głosowanie*, wreszcie *rozstrzygnięcie sprawy przez Ligę Narodów w październiku 1921 r. stwierdziły przynależność do Polski* najbogatszej *części Górnego Śląska*.

Niestety, wskutek agitacji marki pruskiej i trudnego momentu politycznego, zawiódł plebiscyt na Mazowszu pruskiem, granica zaś z Czechami, wytyczona przez przedstawicieli państw sprzymierzonych, bez plebiscytu, w ciągu walk bolszewickich, odcięła 200.000 Polaków na Śląsku Cieszyńskim, *w Spiżu i Orawie. Otrzymaliśmy tam okrojone terytorja*.

Odzyskane ziemie, mimo niektórych niepowodzeń, wytworzyły silną, jednolitą ojczyznę, która pod względem terytorjalnym zajmuje szóste miejsce w rzędzie państw europejskich, obszar jej bowiem wynosi 396.000 km.[2]

Trudna była praca organizacyjna i administracyjna w krwawo zdobytym kraju. Władze i urzędy tworzyły się i zmieniały szybko; walki stronnictw o władzę, przesilenia gabinetowe powtarzały się często, bo niełatwa była orjentacja i opanowanie spraw, jakie nasuwały się budowie państwowości.

Praca nad ustrojem państwowym trwała dwa lata. Ostatecznie, po ogłoszeniu przez Sejm *konstytucji 17 marca 1921 r. skrystalizował się ustrój naszego państwa, jako demokratycznej republiki parlamentarnej*.

Największą troską państwa stała się naprawa skarbowości i stosunków gospodarczych.

Dziedzina skarbowości przedstawiała obraz wielkiego rozstroju. Wydatków nie ograniczano, inflacja powodowała coraz szybszy spadek pieniądza, nierównowaga budżetu była zastraszająca. Lecz dzięki licznym usiłowaniom już od r. 1924, a zwłaszcza w 1926, wartość złotego się ustabilizowała, skończyła się inflacja, budżet nasz zrównoważono.

Rzut oka na ubiegłe dziesięciolecie przekonywa nas o zmianie na lepsze tak w dziedzinie skarbowości, jak i w zakresie życia gospodarczego.

Na każdem polu widzimy pocieszający objaw: rozwój, postęp i pomyślne konjunktury na przyszłość. Akcja odbudowy kraju zakreśliła szerokie kręgi. Polska z przed 10 lat — to jedno wielkie pobojowisko — role, zniszczone okopami, leżały odłogiem, wielkie środowiska przemysłu, jak Łódź, ogołocone z surowców i maszyn, wszystkie warsztaty pracy zdezorganizowane.

Lecz już naprawiliśmy 82 proc. zniszczenia.

Podniosło się przedewszystkiem *rolnictwo*, dzięki meljoracjom, coraz szerszemu zastosowaniu nawozów sztucznych i maszyn rolniczych. Zmienia się coraz bardziej charakter miast i wsi, miejsce licznych do niedawna karczm zajmują domy ludowe, kółka rolnicze, w których skupia się praca organizacyjna.

Równolegle z ulepszeniem rolnictwa idzie rozwój *przemysłu rolniczego*, który zyskał większy rynek wewnętrznego zbytu, wskutek zniesienia granic zaborowych.

Ten moment może powetować straty, jakie ponieśliśmy na zachodnich, zagranicznych rynkach z powodu silnej konkurencji.

Rozwój *w życiu gospodarczem* jest znaczny, dążność do samostarczalności silna, brak tylko jeszcze — zwłaszcza w handlu — kapitału i dobrej organizacji.

W mniej pomyślnym narazie stanie znajduje się rzemiosło.

Polska posiada dziś nieodzowny warunek rozwoju gospodarczego, mianowicie dostęp do morza.

Na mocy traktatu wersalskiego otrzymaliśmy 90 km. wybrzeża morskiego. Trzeba było na tem podłożu budować. Żywa akcja Polski w tym kierunku wydała owoce; dziś *posiadamy własną flotę*, mianowicie 9 statków towarowych i 5 pasażerskich. Wiele zawdzięczamy „Żegludze Polskiej", przedsiębiorstwu państwowemu, zawiązanemu w 1926 r., które zapoczątkowało naszą żeglugę morską. O... ując kapitałem, wydzielonym ze Skarbu państwowego, przedsiębiorstwo to zakupiło statki, a dziś nawet ma własną reprezentację w „Bałtyckiej, Międzynarodowej Konferencji Morskiej".

Początkowo nasz ruch okrętowy ograniczał się do wybrzeży Bałtyku i Morza Półn., — dziś statki polskie zawijają do portów Adrjatyku i Morza Śródziemnego, przewożąc ładunki zagranicznych firm, co świadczy o zaufaniu do naszej floty.

Rozrastający się nasz port w Gdyni, ożywiony ruch, przeprowadzenie coraz nowych linij

okrętowych, świadczy o żywotności polskiego społeczeństwa.

Obok dostępu do morza, gwarancją niepodległości, zwłaszcza w naszem położeniu geograficznem, jest — pomimo wybujałych dążności pacyfistycznych — *wojsko*.

W ostatniem dziesięcioleciu Polska zdobyła się na potężny wysiłek zbrojny, dzięki któremu posiadamy dzisiaj armję materjalnie i moralnie przygotowaną do obrony całości i potęgi Rzeczypospolitej. Wojsko nasze jest wyszkolone według najnowszych zasad sztuki wojennej i zaopatrzone w wszelkiego rodzaju maszyny wojenne. Dziełem ostatnich lat jest również nasze *lotnictwo*. Polska posiada 6 pułków lotniczych, kilka ważnych linij pasażerskich, szereg lotnisk, fabryk samolotów i zakładów aerodynamicznych.

Odrodzone państwo położyło wielki nacisk na *oświatę*, za czem poszedł rozwój naszego szkolnictwa.

Ilość szkół wzrasta z roku na rok, podnosi się również poziom naukowy.

Ministerstwo W. R. i O. P. rozwinęło żywą działalność w kierunku podniesienia stopnia i organizacji szkół powszechnych. Posady nauczycielskie otrzymują tylko siły fachowe, kwalifikowane.

Rozwijają się pomyślnie szkoły średnie ogólno-kształcące i zawodowe. Te ostatnie są dziełem kilku ostatnich lat.

Wyższych uczelni posiada Polska 19.

Ponadto żywą działalność rozwinęło Ministerstwo Pracy i Opieki społecznej, zakładając szereg szkół dla dzieci upośledzonych, ochron, sierocińców i t. d.

Kultura duchowa Polski nie ustępuje krajom zachodnim; mamy w świecie naukowym, literackim, artystycznym prawdziwe powagi. W ostatniem dziesięcioleciu do grobu wstąpiło wielu działaczy na polu ducha, jakimi byli: Żeromski, Reymont, Kasprowicz, Tetmajer, lecz miejsce ich zajął cały szereg nowych, młodych literatów, którzy wzbogacają nasz skarbiec duchowy. Jesteśmy więc pod każdym względem na drodze rozwoju; w obliczu Europy zajmujemy poważne stanowisko i głos. Odrodzona Polska waży już na szali międzynarodowych stosunków.

Reasumując powyższe uwagi, które nie objęły wielu jeszcze dziedzin naszego dorobku w ostatniem dziesięcioleciu — z dumą możemy powiedzieć: „Uczyniliśmy wiele."

Aniela Baranowska
ucz. kl. VIII. g.

(Dzieła pomocnicze: Tęcza, nr. listopadowy 1928, Przegląd powszechny, nr. listopadowy 1928, Czesław Rokicki: „Niepodległość odzyskana", Al. Janowski: „Po 10 latach niepodległości").

OD REDAKCJI.

Radosne wieści kościelne, zapowiedź nowych łask Jubileuszowych, zbiegają się z rozpoczęciem W. Postu, czasu modlitwy i skupienia. Pomoże to Wam zapewne do wytężonej pracy wewnętrznej — przysposabiającej do działalności dla drugich.

Dla wielu z Was rekolekcje wielkopostne będą już ostatniemi rekolekcjami szkolnemi. Niechże Wam zostawią jak najmilsze wspomnienie. — W 99/100 od Was samych to zależy. — Z większem zainteresowaniem niż zwykle, czytałabym listy Wasze, donoszące mi coś o Waszych rekolekcjach szkolnych. — Czy odprawiacie je wspólnie, czy klasami — czy i dlaczega lubicie je, lub nie lubicie. W wielu szkołach maturzystki odprawiają t. zw. rekolekcje zamknięte. Czy i u Was też jest ten zwyczaj?

LILKO Z LUBLINA. — Czemu już nie pobierasz Dz. i. J. w szkole? Tam zawsze wysyłamy większą ilość egzemplarzy, by uczennicom ułatwić nabywanie ich. Jeśli wolisz jednak otrzymywać nasze pismo wprost do domu, to i owszem. Lepiej złożyć opłatę z góry za rok lub pół roku, ale można też i kwartalnie.

MRÓWKO. — Dawno już nie pisałaś, więc ucieszyłam się, widząc Twą pracę. Nie możemy jej jednak drukować, bo myśl nie jest dość jasno przeprowadzona. Nie wiadomo czy chodzi o higienę — czy o moralną wartość postu. Nie zrażaj się tem i przyślij co innego.

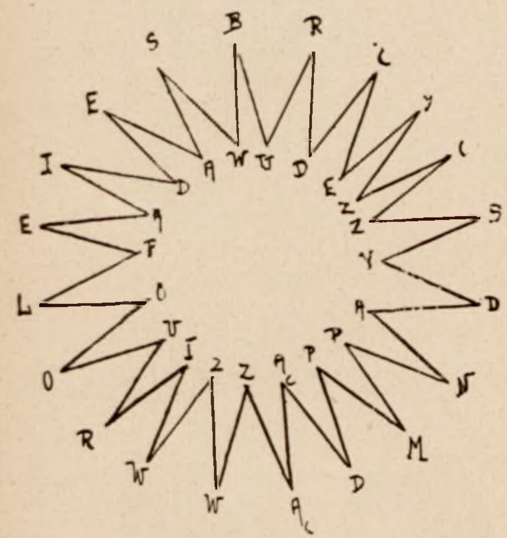
A. C. z Łodzi — czy dostałaś już upragnione numera? — Pisuj jak najczęściej do redakcji, o wszystkiem, co Cię zajmuje, bo i nas interesuje wszystko, co do Was się odnosi. Gawędziarki nasze jakoś zdrzemnęły się — nic zajmującego nie nadsyłają, więc jeśli chcesz je ożywić, to i owszem. Porusz tylko jaki zajmujący i nowy temat. — Namów też swe koleżanki, by pisywały.

JADZIU P., w sprawie Gawęd powiem Ci to samo. Czekam obiecanego długiego listu o Twej pracy społecznej.

MIRO R. — za list dzięki. To wielkie szczęście mieć dużo pracy, sądzę, że jesteś z niej zadowolona.

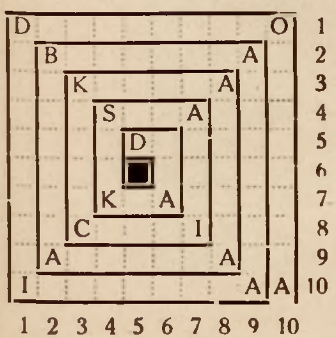
ŁAMIGŁÓWKI.

ZADANIE GWIAZDOWE.



Posuwając się po obwodzie gwiazdy należy odczytać złotą myśl Adama Asnyka, pamiętając, że za każdym razem należy przeskoczyć taką samą ilość liter (a więc co 6 tą czy co jakąś inną ilość). Wszystkie litery wchodzą w skład tej myśli.

LABIRYNT.



W podany labirynt wstawić litery w ten sposób, aby między literami na przekątnej powstały wyrazy o podanem znaczeniu, przyczem litery z przekątnej będą na początku i na końcu każdego wyrazu.

Znaczenie wyrazów poziomych:

1) Znane czasopismo. 2) Kraj w Europie. 3) Kraj w Ameryce. 4) Ptak nocny. 5) Nuta. 7) Część lodu. 8) Naród słowiański. 9) Państwo bałkańskie. 10) Zwolennik idealizmu.

Znaczenie wyrazów pionowych:

1) Pisarz polski. 2) Miasto w Belgji. 3) Miara objętości. 4) Spad góry. 6) Forma wiersza. 7) mieszkańcy pustyni. 8) Kraj w Małej Azji. 9) Część świata. 10) Prawidła pisowni.

ROZWIĄZANIA ZAGADEK
Z NUMERU 3-ego:

SZARADA.

Kotara

ZAGADKA KRZYŻYKOWA.

R	O	B									I	R	A
U	■	A		R	A			U	R		R	■	D
M	U	R	Z	A	■	K	U	R	Y	T	Y	B	A
	M	■	O	M	E	N	■	A	B	■	S	A	
	R	E	■	Z	A	■	C	Z	A	S	■	Ł.	
C	Z	E	R	E	M	C	H	A	■	A	K	W	A
Z	E		O	S		M	A		O	N		A	A
E	C					A	M					N	R
K													S

TREŚĆ Nr. 6.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi 1½ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Początek roku wydawniczego — 15. IX. 1928 r.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

DRVKARNIA·POLSKA
KRAKOW